

KULTURA



Joanna Kulig na planie serialu „The Eddy”

SIEDEM MINUT NA ROWERZE

JOANNA KULIG, AKTORKA:

Musisz jedno stracić, by drugie zyskać.
Byłabym nieszczęśliwa, gdybym nie mogła grać,
ale pierwsze miejsce zajmuje dziś rola mamy.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jak to jest, wrócić do domu po pół roku w Paryżu?

JOANNA KULIG: Moja nieobecność w Polsce rozpoczęła się wcześniej: w zasadzie od festiwalu w Cannes w 2018 r., gdzie miała premierę „Zimna wojna”. Potem pół roku w Stanach, dalej trzy tygodnie w Warszawie, wreszcie – sześć miesięcy

w Paryżu. To była wielka przygoda, którą zawdzięczam właśnie „Zimnej wojnie”. Gdy leciałam z Warszawy do Nowego Jorku, miałam proroczy sen, że lecę w kosmos. I tam wylądowałam.

W serialu „The Eddy”, który właśnie ma premierę na Netflixie, grana przez Ciebie Maja, wokalistka

jazzowa, słyszy w jednej ze scen, że jest wyjątkową artystką.

Słyszy to od Elliota, szefa zespołu i jednocześnie mężczyzny, w którym jest zakochana.

Maja chce się jednak upewnić, czy to, co słyszy, jest prawdą. Znamienna scena, pokazująca chroniczną



LOU FAULON DLA NETFLIKSA

niepewność artysty. Ciekawi mnie, kiedy Ty po raz pierwszy usłyszałaś, że to, co robisz, jest wyjątkowe. Jeszcze w Twoich przedhollywoodzkich czasach?

Śpiewam od dziecka. I na ludziach zawsze to robiło wrażenie, podobało się, były brawa. Nie miałam kompleksu, że coś jest nie tak. Przeciwnie: widziałam, że dzielę się z innymi tym, co kocham, a oni przyjmują to z entuzjazmem.

Co śpiewałaś?

„Deszcz, jesienny deszcz” – to np. na akademii w szkole. Ale w domu nie śpiewałam partyzanckich pieśni, tylko próbowałam naśladować Whitney Houston czy Andrzeja Zauchę. Uwielbiałam „Czas nas uczy pogody” Grażyny Łobaszewskiej. Potem była moda na Kasię Kowalską, Edytę Bartosiewicz, Kasię Stankiewicz i jej „Orla cień”. No i Piasek, „Są ludzie, są serca”...

Ech...

A Marek, mój najstarszy brat, zaraził mnie Czesławem Niemenem. Uwielbiałam jego „Wspomnienie”: „Mimozami

jesień się zaczyna...”, ale też „Pod papugami”. „Dziwny jest ten świat” śpiewałam *a capella*.

To trudny utwór.

Bardzo trudny. A później, gdy zaczęłam edukować się muzycznie, przyszedł czas na świadomą pracę z głosem, by móc wykonać jeszcze bardziej skomplikowaną etiudę.

Szło mi to mozolnie, miewałam kryzysy, bałam się, że pewnych rzeczy nie uda mi się wyćwiczyć.

A szkoła aktorska?

Tu z wiarą w siebie było najciężej. W ogóle cała edukacja teatralna jest podróżą w głąb, emocjonalnym otwieraniem w sobie zarówno stron mocnych, jak i słabych. Poznawałam samą siebie, zderzałam się ze sferami psychologicznymi, do których nie miałam dostępu w codziennym życiu, człowiek zwykle przecież tak głęboko w sobie nie grzebie.

Żeby nie bolało?

Podam przykład: podczas zajęć trzeba na zawołanie zacząć płakać, bo tego wymaga scena. Jedna z moich koleżanek z roku powiedziała mi, że umiejscowiła sobie potrzebne dla tego stanu emocje w pewnej części brzucha, i kiedy tylko o tym pomyśli, łzy same napływają jej do oczu. A u mnie, niestety, takie patenty nigdy nie działały.

Z czasem nauczyłam się wywoływać emocje poprzez precyzyjną analizę psychologiczną postaci. Jeśli w tę postać uwierzę, to płaczę. Anna Polony, moja mentorka, powtarzała na studiach, że aktor to jest stworzenie, które powinno być szalenie empatyczne: ma umieć wyobrazić sobie czyjąś sytuację i odczuć ją na własnej skórze.

Czyli musi boleć.

Ze szkoły dobrze pamiętam zajęcia z Beatą Fudalej. To dopiero było łamanie kręgosłupa, ale jakże przydatne! Beata z jednej strony doceniała mój potencjał wokalny, ale aktorsko, interpretacyjnie, piłowała mnie do bólu, bo ciągle było coś nie tak... Gdy przygotowywałam repertuar Kabaretu Starszych Panów, to z każdej piosenki musiałam wyciągać głęboko ukryte sensy. To znacznie więcej niż w przypadku śpiewania w szkole muzycznej. Ale gdy wychodziłam na scenę z konkretnym tematem, zaczynało

się prawdziwe aktorstwo i muzyka nabierała nowego znaczenia. Potem, podczas jednego z egzaminów końcoworocznych, kiedy zaśpiewałam „S.O.S.” Przybory i Wasowskiego, każde słowo było przepełnione emocją. Pamiętam to do dziś, bo ta emocjonalność zadziałała nie tylko na publiczność, ale na mnie też.

Ten tekst jest wspaniały. Po raz pierwszy „S.O.S.” w połowie lat 60. wykonała Kalina Jędrusik: „Nasza miłość jest słaba i głodna / Nasza miłość ma lęk miłowania / Nasza miłość tak niegdyś dorodna / Gdy podniebny jej rydwan nas niósł / Ta orlica, ta lwica, ta łania / Niedości-gła, zachłanna i lotna / Dziś gorącym uściskom się wzbrania / Pocałunki nie nęcą jej ust”.

A na trzecim roku studiów już grałam w Starym Teatrze, w spektaklach Mai Kleczewskiej, Mikołaja Grabowskiego, Jana Klaty. To było dla mnie wyróżnienie. Wiedziałam, że stojąc z moimi nauczycielami ze szkoły na scenie będę się uczyła wszystkiego, co w tym zawodzie najważniejsze.

Na czwartym roku zagrałam w filmie „Środa, czwartek rano”, więc bardzo szybko wskoczyłam też w maszynę filmową. Pozornie wszystko szło po mojej myśli, ale w głębi duszy czułam, że nie jestem przygotowana na tak wiele.

I w 2008 r. zrezygnowałaś z etatu w Starym. Przestałaś wierzyć w swoje możliwości?

To nie tyle był brak wiary w swoje możliwości, co raczej przeciążenie, kompletne zagubienie i niewiedza, w którym kierunku mam podążać. Intuicja podpowiadała mi, że to moment, kiedy powinienam się cofnąć, by złapać perspektywę: oderwać się, zobaczyć, co dalej i czego od siebie samej potrzebuję. Bo ja wtedy w aktorstwo rzucałam się nałogowo.

Nałogowo?

Bez granic, a to dla psychiki szalenie obciążające. Aktorstwo zaczęło mnie wykańczać.

Przed podjęciem decyzji o rezygnacji z etatu w Starym na kartce wypisałam plusy i minusy. Największym minusem było opuszczenie środowiska: ludzi, którzy byli dla mnie ważni, otoczyli mnie opieką. Ale z drugiej strony było wyciszenie, potrzebny oddech. Nie byłam jeszcze ➔

→ gotowa na tak intensywną zawodową eksploatację.

A teraz, po nominacji do Oscara „Zimnej wojny” Pawlikowskiego z Tobą w roli głównej i po szeregu nagród, które odebrałaś, także dla najlepszej aktorki europejskiej?

Teraz płacę cenę za sukces. Pytasz jaką? Na pewno jest to totalna utrata anonimowości. Plus presja, pod której ciężarem musisz podejmować decyzje.

Presja?

O koszcie sukcesu trudno mówić, by to nie zabrzmiało: „O Boże, taka kariera, a ona jeszcze mówi o problemach”.

Tym bardziej powinnaś to wytłumaczyć.

To sytuacja, w której producenci, agenci oczekują, że pójdziesz za ciosem, że nie bacząc na zmęczenie, na fakt, iż dopiero co urodziłaś, oddasz się nie jednemu, ale dwóm, trzem projektom. To presja dziennikarzy, środowiska: czy jej się uda? To propozycje, na które trzeba momentalnie odpowiadać, i świadomość, że każde „nie” wiąże się z dalekosiężnym ryzykiem. I pewnie świetnie bym sobie z tym poradziła, ale to wszystko wydarzyło się w najszczególniejszym dla mnie momencie życia – kiedy na świat przyszło moje pierwsze dziecko.

Czy ryzyko polega na tym, że taka szansa może się nie powtórzyć?

Że musisz jedno stracić, by drugie zyskać. Wiem, że muszę słuchać swojej intuicji i nie gubić priorytetów. Teraz najważniejsze jest dla mnie macierzyństwo. Byłabym nieszczęśliwa, gdybym nie mogła pracować, ale to rola mamy zajmuje dziś pierwsze miejsce.

I da się to wszystko pogodzić?

Bywało ciężko, ale tak. Casting do „The Eddy” wygrałam 7 lutego – w dniu terminu porodu. Byłam wtedy w Stanach, promowałam „Zimną wojnę”. Rano 4 lutego umówiłam się z reżyserem, Damienem Chazelle’em. Damien był pod wrażeniem „Zimnej wojny”, to tam mnie po raz pierwszy zobaczył i pomyślał o mnie w kontekście obsady swojego nowego projektu.

Damien Chazelle to cudowne dziecko kina. Każdy jego film jest artystycz-

nym wydarzeniem – i „Pierwszy człowiek”, i „Whiplash”, i „La la land”, musical, za który dostał sześć Oscarów.

Akcja „The Eddy” toczy się w środowisku jazzowym w Paryżu, a sam serial też ma dryg musicalowy. Dlatego warunkiem obsadowym była muzykalność aktorów. Każdy musiał na czymś świetnie grać lub śpiewać. Więc zaraz po spotkaniu z Damienem zostałam poproszona o przygotowanie dwóch utworów i nagranie *self-tape*. Chciano mnie sprawdzić w nowoczesnym jazzowym brzmieniu. Pracowałam nad tym dwa dni, jednocześnie będąc gotową na to, że w każdej chwili mogę urodzić. Jednak intuicja podpowiadała mi, że może zamiast się nagrywać, lepiej byłoby pokazać się na żywo? I tak miało dojść do przesłuchania, które wyznaczono na planowany dzień porodu. Powiedziałam, że jeśli mały człowiek w brzuchu nie będzie się spieszył, przyjadę.

Na wszelki wypadek spakowaliśmy z mężem do samochodu walizkę „porodową” i ruszyliśmy do studia w Hollywood. A do tego studia prowadzi akurat Aleja Gwiazd. Kroczyłam nią i myślałam sobie: „Ho ho ho, idę na casting Aleja Gwiazd!”. Potem ekipa opowiadała, jakie wrażenie zrobiło na nich wejście z impetem kobiety w zaawansowanej ciąży z ustami pomalowanymi na czerwono (*śmiech*). Na pięterku stał fortepian, zaczęliśmy grać, ucieszyli się, że płynnie czytam nuty. Był czas na to, by poprobować rozmaite kawałki, zaśpiewałam też po polsku – oczywiście „Dwa serduszka”. Glen Ballard, kompozytor muzyki do serialu i jego pomysłodawca, sześciokrotny laureat Grammy zapytał: „Czy ty jesteś w stanie przygotować czternaście utworów po angielsku na za dwa miesiące?”. Ja: „No jasne, że tak”. A kilka dni później urodziłam Jasia.

Chwilę po porodzie odpoczywałam, potem było rozdanie Oscarów. Minęło ledwie 10 dni i dzwoni telefon, że koniec odpoczynku i czas zacząć przygotowywać utwory. Po godzinie zainstalowano mi w domu keyboard i kolumny, a po dwóch przyjechał Glen ze swoim pianistą Dannym i zaczęliśmy tę niespodziewaną przygodę... z dzieckiem przy piersi.

I?

Kiedy Jaś miał pięć tygodni, produkcja zarządziła przerzut do Paryża, gdzie

mieliśmy kontynuować przygotowania. Jednak po ponad półrocznym pobycie w USA musiałam choć na chwilę wrócić do Polski. Tęskniłam za rodziną, przyjaciółmi, za swoim mieszkaniem. Poza tym trzeba było Jaśka wszystkim przedstawić. Zaproponowałam więc produkcji, żeby dali mi dwa tygodnie, ale jednocześnie, żeby mój muzyczny *coach* mógł polecieć ze mną. Wszystko, aby nie tracić tej i tak małej ilości czasu. Miałam dobrą intuicję, bo to mnie uratowało.

Jak?

Danny zamieszkał w Warszawie w hotelu, gdzie została zaaranżowana sala prób – keyboard i mikrofon. Całą strategię miałam perfekcyjnie opracowaną: próby trwały od dziesiątej do czternaastej, czasami na moment wracałam na nie wieczorem. Moim środkiem transportu był rower. Miałam obliczony czas dojazdu: dokładnie siedem minut. Wychodziłam z domu, gdy Jaś spał, a gdy był głodny, to teściowa albo moja mama dawały mi znać: ja na rower, siedem minut i byłam w domu. Karmiłam go i wracałam na próbę.

Do czegoś takiego zdolna jest tylko kobieta.

Przez te dwa tygodnie opracowałam siedem utworów. A jak Jaś miał dwa miesiące, poleciliśmy do Paryża. Tu było ciężiej: dojazd na próby zajmował co najmniej godzinę, do tego przymiarki, próby aktorskie, nauka tekstu. Nauczenie się skomplikowanej logistyki, łączącej pracę na wysokich obrotach z opieką nad małym dzieckiem, zajęło mi trochę czasu.

Chodziło o to, by było w miarę spokojnie. I to mi się udało, z tego jestem dumna. Kiedy zaczęły się zdjęcia, ten rytm mocno już się utrwalił. Przeważnie około drugiej po południu jechałam na plan, kończyłam o drugiej w nocy, wracałam, dosypiałam do dziewiątej, rano Jaś był z moją mamą lub teściową, potem ja się nim zajmowałam. Mogłabym mieć dziecko na planie, ale wolałam to oddzielać: skupić się wyłącznie na pracy i wyłącznie na dziecku, nie mieszać tych sfer.

Ale mówiąc szczerze: jakby mi ktoś drugi raz kazał to zrobić, w życiu bym się nie zgodziła.

Kiedy Patricia Arquette odbierała Oscara za rolę kobietą w „Boyhood”,

zwróciła się do każdej kobiety, która urodziła dziecko, by w branży filmowej powalczyć o równe zarobki z mężczyznami. W tej sferze są ogromne dysproporcje.

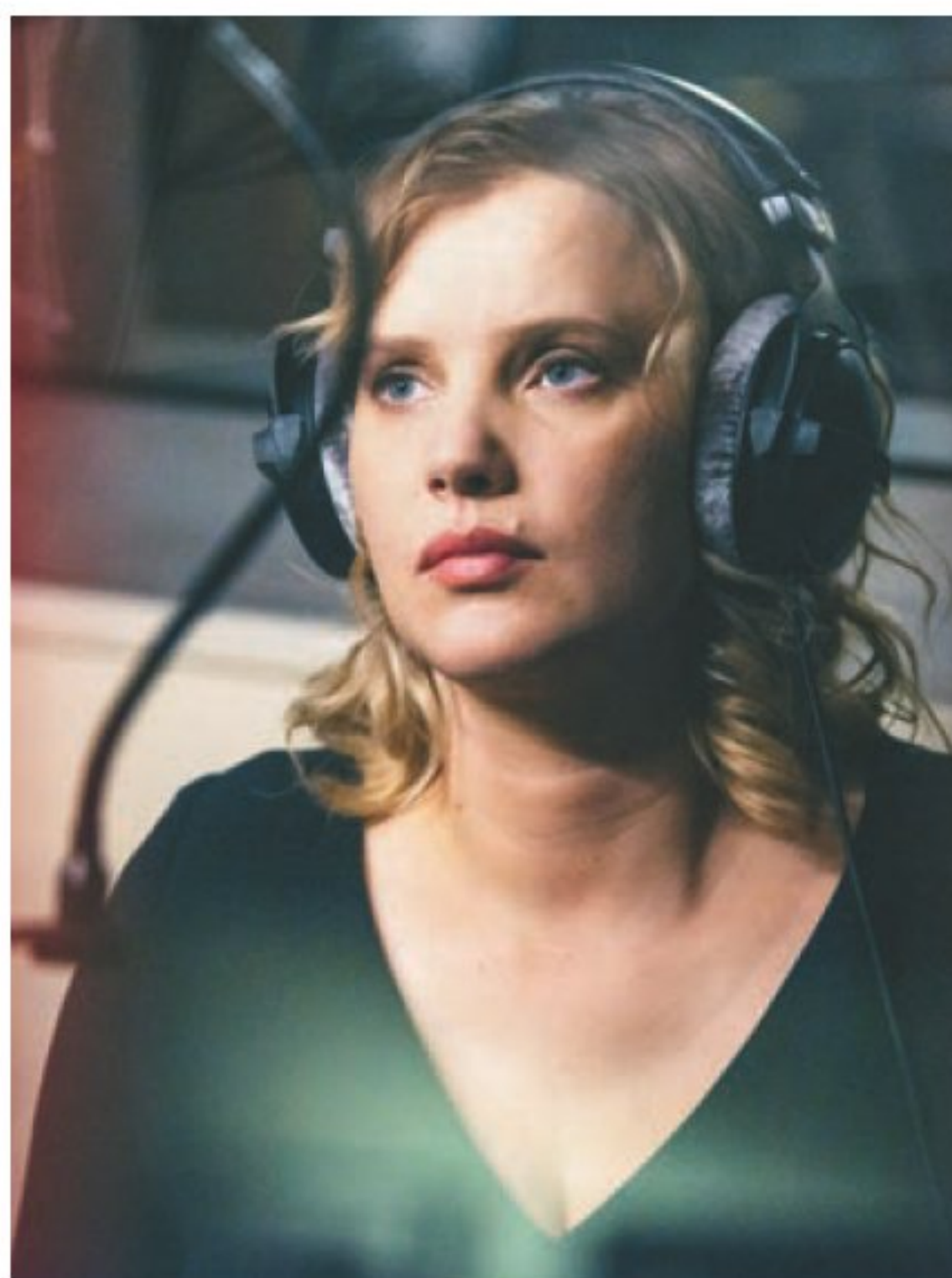
Ważna też była akcja #MeToo – poprzez uwrażliwienie na przemocowość zwiększyło się bezpieczeństwo w Los Angeles. Widziałam ostatnio świetny serial „The Morning Show”, opowiadający właśnie o nadużyciach seksualnych. Ten problem pokazany jest tam z różnych perspektyw, także z tej, kiedy #MeToo wykorzystuje się do załatwiania prywatnych interesów. Co jest o tyle szkodliwe, że cierpią na tym głównie prawdziwe ofiary.

Przekraczanie granic zawsze będzie rodzić problemy, zwłaszcza w branży filmowej, gdzie z jednej strony reżyser jest dla aktora szefem, mówiącym, co ma zrobić, a z drugiej strony wchodzi z nim w intymną relację psychologiczną. Dlatego tak ważne są klarownie wyznaczone zasady pracy aktora i reżysera, których przestrzeganie gwarantuje zachowanie równowagi.

To jeszcze zapytam o emocje. Jak to jest: wyrażać je grając w języku angielskim i francuskim? Bo po polsku w „The Eddy” Maja wyraża wyłącznie gniew.

Spontaniczne, improwizowane wyrażanie emocji w obcych językach nie należy do rzeczy naturalnych. A gra w tym serialu była mocno oparta na improwizacji. Musiałam więc przekroczyć kolejny aktorski próg. Pomagała mi w tym znakomita francuska *coach* aktorska – Dany Héricourt. Oprócz tego, że pracowała z aktorami nad rolą, była też w ścisłym kontakcie ze scenarzystą i reżyserem. Dbała o spójność scen – zmieniała dialogi, aby brzmiały naturalnie, kiedy np. Elliot grany przez André Hollanda przechodził z angielskiego na francuski, a ktoś inny z francuskiego na arabski. Czuwała nad tym, by nie stworzyć wielokulturowego węzła gordyjskiego, językowego bałaganu. Gdy ćwiczyliśmy dialogi, to np. często biegałam lub rzucałam piłką. Chodziło o to, żebym była w jakimś ruchu, by mówienie było organiczne, naturalnie ze mnie płynęło, a nie sprowadzało się do poprawnie wyuczonej melodii, dobrze postawionego akcentu i intonacji.

A co z polskimi przekleństwami?



LOU FAULON DLA NETFLIXA

Przesłuchanie wyznaczono mi na planowany dzień porodu.

Odpowiedziałam,
że przyjadę, jeśli mały
człowiek w brzuchu
nie będzie się spieszył.

Uznaliśmy, że najbardziej autentyczne będzie, jeśli Maja wpadając w furję zacznie rzucać mięsem w swoim rodzimym języku. W parach, w których kobieta pochodzi z innego kraju niż jej partner, w skrajnych nerwach zazwyczaj przechodzi ona na język ojczysty.

Zdecydowana część obsady „The Eddy” to naturszczycy.

Zawodowi muzycy. Damien Chazelle miał pomysł, by tę fabułę kręcić metodą dokumentalną: zespół grał na żywo, pracowały trzy kamery, nie było potrzeby, by sekwencję powtarzać wielokrotnie. To bardzo pomagało w pracy. A wspomniana Dany też świetnie ich prowadziła, miała w sobie delikatność, która ich nie zamykała. Muzycy jazzowi poprzez otwartość na improwizację byli też gotowi przyjąć uwagi aktorskie.

Byłam pod wrażeniem, jak oni je realizują. Nie jestem pewna, czy to by działało w drugą stronę: gdyby aktor bojący się śpiewać miał do wykonania kilkanaście piosenek.

Opisz na koniec to uczucie, kiedy po porodzie położna kładzie dziecko na brzuchu matki.

Niedowierzenie i radość jeszcze nie-uświadamiana, bo byłam mocno znieczulona. Wstrząs i szal wszystkich emocji naraz. A z czasem ta emocjonalna bomba rozkłada się na atomy i pojedynczo zaczyna do ciebie docierać, że masz dziecko i jesteś mamą. Pytasz, kiedy do mnie dotarło? Zabrzmi to paradoksalnie, lecz dopiero teraz, w trakcie pandemii, mam prawdziwy urlop macierzyński. Jestem z Jankiem dzień w dzień już siódmy tydzień, nikt nic ode mnie nie chce, nikt nie dzwoni.

Ksiądz Wojtek Drozdowicz z warszawskiej parafii na Bielanach powiedział, że mamy teraz przymusowe rekolekcje. Rzeczywiście, bez naszej woli musieliśmy zwolnić i zsynchronizować się z rytmem natury. Zdaliśmy sobie sprawę, jak bezkarnie wyeksploatowaliśmy naszą planetę. Nagle fakt, że człowiek ma kawałek ogródka koło domu, okazuje się największym przywilejem i szczęściem: widzi zieleń, drzewa, kwiaty... Prawdziwie koi go przyroda.

Po tym wszystkim podzielimy nasze życie na przedpandemiczne i popandemiczne. Ostatnio wyjęłam kalendarz, w którym jeszcze przed ogłoszeniem pandemii zapisałam swoje plany na tę wiosnę. Te zapiski czytałam wczoraj mężowi, i tylko śmialiśmy się pod nosem. Możemy sobie planować...

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

JOANNA KULIG (ur. 1982 w Muszynie) jest aktorką. Po nieudanych egzaminach do Instytutu Jazzu w Katowicach dostała się za drugim razem na Wydział Wokalno-Aktorski w krakowskiej PWST. W teatrze debiutowała w „Śnie nocy letniej” w reżyserii Mai Kleczewskiej. W filmie zagrała m.in. w „Sponsoringu” Małgorzaty Szumowskiej, „Klerze” Wojciecha Smarzowskiego, „7 uczuciach” Marka Koterskiego. Za rolę w „Zimnej wojnie” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego otrzymała Europejską Nagrodę Filmową dla najlepszej aktorki. 8 maja na Netflixie, internetowej platformie filmowej, odbędzie się premiera serialu „The Eddy” z jej udziałem.